

A. K. Green.

Który z nich?

1

I.

Kilka lat temu, w chłodny jesienny wieczór, przechodziłem przez Pola Elizejskie. Dokuczało mi zimno, podniosłem więc wysoko po same uszy kołnierzyk palta i przyspieszyłem kroku, gdy nagle, dochodząc do ulicy Washington, usłyszałem dziecięcy głos:

— Proszę pana! Proszę pana! Proszę przyjść zaraz do dziadunia. Chory jest. Powiedział mi, by pana zawołać.

Podniosłem zdziwioną głowę, gdyż w tej okolicy nikogo nie znałem. Mała dziewczynka, drżąca cała ze wzruszenia, z twarzą zasłoniętą całą masą pukli jasnych włosów, które silny wiatr rozrzucał na wszystkie strony, wychylała się z okna na parterze jednego z eleganckich pałacików, znajdujących się przy tej avenue.

— Mylisz się, moje dziecko — odparłem jej. — Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Nie znam twego dziadunia. Powiedz mi, kogo znasz w tych stronach, a zaraz pójde go zawołać.

Nie zadowolili jej moja odpowiedź.

— Nie! Nie! — nalegała z dziecięcą żywością. — Niema czasu. Dziadunio powiedział mi, bym zawołała pierwszego przechodnia, jakiego zobaczę. Pan jest tym pierwszym przechodniem. Proszę więc wejść.

Mówiła to głosem tak wzruszonym, iż zacząłem już ustępować.

— Jak się nazywa twój dziadunio? — zapytałem jednak, domyślając się z zewnętrznego wyglądu pałaciku, że musi to być ktoś z ludzi znanych. — Jeżeli jest chory, dlaczego nie zawiesz służby.

— Powiedziałam już panu, że niema czasu — powtórzyła z niecierpliwością. — Dziadunio nie lubi czekać. Jeżeli pan zaraz nie przyjdzie, to pomyśli, że ja źle wykonałam zlecenie.

Jakże więc mogłem wahać się dłużej? Apartament, o ile widziałem to z ulicy, przedstawiał się wspaniale. Choć dziwne było to wezwanie, nie wzbudzało ono jednak we mnie najmniejszej podejrzliwości. Skierowałem się do drzwi, które mi natychmiast otworzyła mała dziewczynka.

— Tędy, tędy! — mówiła

Zaledwie zdążyłem zamknąć drzwi, pociągnęła mnie zaraz w głąb westybuli, gdzie zatrzymała się na chwilę, skapaną w blasku światła, dobywającą się z otwartego pokoju. Widok, jaki tu na mnie czekał, tłumaczył w zupełności wzruszenie młodego dziewczątka i słowa, zwrócone do nieznanego przechodnia z ulicy. Pośrodku eleganckiego gabinetu stał, trzymając się biurka, jakiś starszy mężczyzna o przeżółtzonej bladej twarzy. Widoczne było dla każdego, iż czuł się on bardzo źle. Przejęty tem, gdyż nie spodziewałem się niczego podobnego, chciałembiegnąć zaraz i zawołać o pomoc, lecz dziewczynka ta upadła na kolana przed dziadkiem i zwróciła na mnie tak błagalne wejrzenie, iż mimowoli musiałem zostać. Okrucieństwem byłoby zresztą postąpić inaczej. Starzec, trzymając się kurczowo jedną ręką za serce, drugą opierał na papierach, rozrzuconych na biurku. Chwiał się całym ciałem. Gdy mnie ujrzał, przebiegł po nim nagły dreszcz. Rozkładając rękę, trzymaną na piersiach, pokazał mi kawałek papieru, zaciśnięty między palcami.

Szepnąłem kilka słów współczucia. Sądząc, że jest sam w domu z tą dziewczynką, zapytałem, w czym mogę mu być pomocny. Rzucił znaczące spojrzenie na moją rękę, potem z nadludzkim prawie wysiłkiem wyciągnął swą rękę i wyjął kilka niezrozumiałych słów, które wydały mi się prośbą, bym wziął papier, tkwiący w sztywniejących jego palcach. Przejęty litością spełniłem jego żądanie. Zobaczyłem, iż jest to kawałek papieru, podobny do leżącego na biurku i że jest on złożony w ten sposób, by go komuś wręczyć nieczytany.

— Co z nim uczynić? — rzekłem, szukając jego wzroku, przesłoniętego już bielmem śmierci.

Skierował oczy na stół i po chwili zatrzymał je na paczce kopert. Wziąłem jedną, włożyłem do środka ten kawałek papieru i starannie zakleiłem, spoglądając ciągle na jego twarz, czy tego właśnie chce. W oczach starca zajaśniał taki błysk zadowolenia i wdzięczności, iż sam się rozrzewniłem. Czując, iż chodzi tutaj o rzecz niezmiernie ważną, chciałem go zapytać, jakie nazwisko napisać na kopercie, gdy usłyszałem urwany jego głos:

— Dla żadnego z nich... do... dla...

Na nieszczęście, gdy miał już wymówić nazwisko, wargi jego zadrżały i mimo wysiłku nie mógł

wydobyć głosu. Pragnąc ułatwić mu wypowiedzenie, zapytałem:

— To dla pańskiego notariusza? Ponieważ nie dał żadnego znaku, pośpieszyłem dodać: Dla pańskiego doktora?... Dla pańskiej żony?... Dla jakiego krewnego?...

Podniósł wzrok do góry z wyrazem tak wielkiej ulgi, iż na chwilę zapomniałem o jego krytycznym stanie. Dziwiłem się jeszcze tej nagłej zmianie, jaka w nim niespodzianie zaszła, gdy naraz dziewczynka krzyknęła przeraźliwie. Ujrzałem, jak starzec chwile się i pada. Zaledwie zdążyłem uchwycić go, by głową nie uderzył o ziemię. Była to ostatnia usługa, jaką mogłem mu oddać. W rękach swych trzymałem tylko zwłoki tego, który dał mi jakieś tajemnicze, niezrozumiałe zlecenie, bym kopertę tę wręczył temu, dla kogo ona była przeznaczona. Lecz kto ma być tą osobą? Tego nie wiedziałem. Położenie moje w tym domu, gdzie nikogo nie znałem, stało się bardzo kłopotliwe. Tymczasem dziewczynka wybiegła z pokoju, wołając głośno:

— Tatku! Tatku!

Zdziwiony, że w pałaciku tym są jeszcze inne osoby, poszedłem za dziewczynką na pierwsze piętro i zatrzymałem się razem z nią przed jakimiś drzwiami. Zdawała się wahać.

— Tatko jest tutaj — rzekła po cichu.

Z wnętrza dobywały się wybuchy śmiechu, wesole okrzyki i brzęk kieliszków. Uderzony kontrastem, jaki przedstawiała ta głośna wesołość z tragicznym wypadkiem na dole, sam zawahałem się, czy wejść. Szukałem oczami dzwonka, by wezwać służbę, lecz dziewczynka ta pociągnęła mnie za rękę i rzekła:

— Zdaje mi się, że tatusia niema razem z nimi. Tatko nie lubi grać w karty. Nie tak, jak stryj Jerzy. Chodźmy poszukać go w jego mieszkaniu.

Pociągnęła mnie znowu w przeciwną stronę, weszła do jakiegoś pokoju, lecz wydała się bardzo zdziwioną, że światło jest zgaszzone i że niema jej ojca.

— Może jest u stryja Alfreda — szepnęła i zaraz wbiegła na schody, prowadzące na drugie piętro, oglądając się, czy za nią idę.

Otworzyła drzwi i zawołała:

— Stryju Alfredzie, dziadunio upadł u siebie na podłogę, a tatusia nigdzie niema. Ja się boję!

Podbiegła, szlochając, do młodego człowieka, który powstał z krzesła, lecz z miną tak czemś przejętą, iż zdawał się nie rozumieć wcale znaczenia jej słów. Mimo swego zakłopotania, przyglądałem mu się uważnie. Był to wysoki, silny mężczyzna o wybitnie pięknych rysach. W postaci jego uderzyła mnie jednak nie tyle jego piękność, co zdenerwowana i podniecona twarz. W rękę trzymał list, który pisał, gdyśmy weszli. Zgniół go jednym ruchem i rzucił szybko do koszyka. Zwróciło to moją uwagę. Pytałem się siebie, co to mógł być za list, który zniszczył z powodu zjawienia się swej bratanicy. Z pewnym wysiłkiem starał się zrozumieć, czego chce od niego to małe dziecko. Ponieważ nie spostrzegłem mej obecności na progu pokoju, uznałem za konieczne przedstawić się.

— Przepraszam pana — rzekłem — jestem Artur Maujean z biura notariuszy Druard i Maujean. Przechodziłem koło domu, gdy dziecko to zawołało mnie na pomoc do swego dziadka, którego zastałem w krytycznym stanie. Zmarł on przed chwilą na mych rękach. Jako synowi ośmielałem się złożyć panu wyrazy szczerzego współczucia. Nie chciałem opuszczać tego domu bez wytłumaczenia rodzinie zmarłego, w jaki sposób znalazłem się tutaj.

— Co pan mówi, ojciec mój umarł?

W oczach jego, w głosie widziałem jakieś nieokreślone wzruszenie, które nie było ani żalem, ani zdziwieniem. Wyraz ten trwał na jego twarzy bardzo krótko. Nachylił się szybko, wziął swą bratanicę na ręce, ale tak, iż zakrył sobie nią głowę i nie zważając na mnie, pośpiesznie wybiegł.

— Gdzie jest dziadunio? — pytał dziecka, jakby nie pamiętał tego, co mu powiedziałem.

— W swoim gabinecie, ale ja nie chcę tam iść. Boję się! Pójde po Genowefę!

Młody człowiek postawił ją na ziemię i wtedy dopiero przypomniał sobie o mej obecności.

— Nie rozumiem tego — odezwał się. — Gdzie są więc moi bracia? Powinni być tutaj. Po co wołać o pomoc z ulicy?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, lecz on sam rzekł:

— Zejdźmy.

Spodziewałem się, że wszyscy są już w popłochu, gracie jednak nie przerwali swej partyi. Nie zdziwiłem się też, gdy mój towarzyszy zatrzymał się przed drzwiami, z poza których dochodził wesoły gwar i zapukał w nie silnie pięścią.

— Ojciec jest chory! — zawołał gniewnym głosem.

Nie czekając na odpowiedź, zbiegł szybko ze schodów, a za nim pobiegło kilku młodych ludzi. Między nimi zauważyłem jednego, którego wziąłem zaraz za starszego brata Alfreda. Miał on tę samą postać wyniosłą, roztargnioną minę i gdy poznał nieszczęście, jakie się w domu zdarzyło, widać było również i na nim jakieś niejasne, sprzeczne z sobą wzruszenie. Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tymi szczegółami.

Wieść ta, która tak powoli dostawała się na wyższe piętra, w mgnieniu oka rozniosła się w suterynach. Około pół tuzina służby zebrało się przy drzwiach pokoju, w którym leżał ich pan. Bracia weszli do gabinetu ojca, ja zaś zatrzymałem się przed drzwiami z kilkoma młodymi ludźmi, którzy byli gośćmi jednego z synów zmarłego. Od nich otrzymałem pierwsze wiadomości o tym nieszczęśliwym ojcu, który we własnym domu zakończył życie na rękach obcego człowieka z ulicy. Był to bogaty finansista amerykański, Robert Hardy, którego imię, jak również i trzech jego synów, znanych z rozrzutności, było na ustach wszystkich, od chwili, gdy w niespełna dwa miesiące wygrał na giełdzie pięćdziesiąt milionów franków.

Tymczasem jeden z młodych ludzi, który wszedł razem z braćmi do gabinetu, wyszedł z niego cały błądy. Był on doktorem, nie był jednak lekarzem domowym, gdyż rzekł wzburzonym głosem:

— Proszę natychmiast iść po doktora Bressanta. Niech zaraz przyjeżdża, nie tracąc ani jednej chwili. Nie można przenieść pana Hardy, dopóki doktor tutaj nie przybędzie.

I młody doktor, nie odpowiadając nawet na zapytania swych przyjaciół, wrócił do gabinetu.

— Czy pani Hardy żyje jeszcze? — zapytałem jednego z obecnych, który udzielił mi poprzednich informacji.

— Ale cóż znowu! Umarła już przed piętnastu laty.

Koperta więc, którą wręczył mi nieboszczyk, nie była przeznaczona dla jego żony. Po chwili uczułem na sobie jakiś wzrok. Był to stary kamerdyner, który mi zrobił lekki znak, gdym na niego spojrzeżał. Zbliżyłem się do niego. Rzekł mi po cichu:

— Przepraszam bardzo, lecz pan jeden tylko zachowuje się tutaj poważnie. Niech pan nie dopuści, by cokolwiek czyniono przed przybyciem pana Lionela. On jest najwięcej poważany w rodzinie.

— To ojciec tej małej dziewczynki?

Służący potwierdził ruchem głowy mój domysł.

— A przytem jest to dzielny człowiek — dodał — bardzo dzielny człowiek.

Czy mówił on seryo, czy z ironią? O ile słyszałem dawniej, to wszyscy trzej synowie przyczyniali nieraz ojcu wiele zmartwień. Podczas gdy trzymał się na uboczu, czekając jak i inni na przybycie doktora, zauważyłem, że Alfred Hardy wychodził kilka razy do westybuli. Widać było po nim, że miotany jest jakimś niepokojem. Za każdym razem rzucał ukradkiem spojrzenie na schody. Wreszcie rozległ się dzwonek. Wszyscy poruszyli się, jakby chcieli otwierać drzwi, lecz czynił to już służący, kłaniając się nisko przed przybyłym. Odgadliśmy, że jest to lekarz, tak niecierpliwie oczekiwany.

Kilka razy widziałem już doktora Bressanta, nie przypuszczałem jednak, by mógł zdradzać taki niepokój, jak w tej chwili. Czy to pod wrażeniem tej smutnej wieści, czy też z jakiej innej przyczyny, lecz wydał się on tak podnieconym, jak i my. Szybko przeszedł do gabinetu, do którego wprowadził go jego młody kolega. Przez kilka minut pozostawał on w tym pokoju razem z synami swego stałego pacjenta i ich przyjaciółmi. Gdy wyszedł, wyczytałem zaraz na jego twarzy, że najgorsze przypuszczenia są aż nadto usprawiedliwione. Odezwał się jednak do nas z wielkim spokojem:

— Smutna sprawa, panowie. Pan Hardy zażył zbyt silną dawkę chloralu. Nie można dotykać się zwłok, dopóki nie przybędzie komisarz.

Po słowach tych rozległ się w pokoju sąsiednim stłumiony okrzyk i brzęk tłuczonego szkła. Stary kamerdyner upuścił kieliszek, który wziął z kominka z jadalnego pokoju.

Jednym ruchem doktor znalazł się przy nim.

— Co to się stało?

Kamerdyner schylił się, by pozbierać kawałki.

— Jest to kieliszek, z którego pił pan. Przed pół godziną kazał mi przynieść sobie malagi. Przestraszyły mnie słowa pana doktora.

Choć mówił, że przestraszył się, nie było jednak tego widać po nim; niczego to nie dowodziło, gdyż starzy słudzy mają często ten obojętny wyraz.